

ANI SŁOWA O  
Zosi!

Zuzanna  
Orlińska



ANI SŁOWA O

ZOSI!

Zuzanna  
Orlińska



Zuzanna Orlińska  
**Ani słowa o Zosi!**

© by Zuzanna Orlińska  
© by Wydawnictwo Literatura

**Druga nagroda w III Konkursie Literackim im. Astrid Lindgren  
na współczesną książkę dla dzieci i młodzieży**



Okładka: Katarzyna Kołodziej  
Skład i korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

**Wydanie III**

**ISBN 978-83-7672-508-6**

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2017  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630-23-81  
faks (42) 632-30-24  
www.wyd-literatura.com.pl

*Podziękowania dla:*

*Afrykandra – za porady medyczne  
Kramera – za wiersz  
p. Jacka Żurka – za konsultację historyczną  
Mikołaja, Szymka i Julka – za całą resztę*

## Rozdział pierwszy

Moja mama jest sławną pisarką.

Trzecia część jej cyklu powieściowego o Zosi Jezierskiej, *Cynamon i piegi*, znajduje się od wielu miesięcy w czołówce list bestsellerów. Dwie poprzednie – *Słońce w kaloszach* i *Miłość z podwójnym serem* sprzedają się w ogromnych nakładach i wciąż są wznawiane. Profil Zosi Jezierskiej na Facebooku polubiły już tysiące ludzi, a kolejne tysiące odwiedzają każdego dnia stronę internetową mojej mamy.

I wszystko to są nastolatki, które uwielbiają powieściową Zosię i jej rodzinę.

Ja do nich nie należę. Powiem więcej: Zosia wychodzi mi nosem i uszami. Dlatego lojalnie sprzedam każdego, kto chciałby być ze mną w dobrych stosunkach: ani słowa o Zosi!

Najgorsze jest to, że w mojej klasie wszystkie dziewczyny też zachwycają się Zosią. Być może dlatego nie mam żadnej bliskiej przyjaciółki. Jak już któraś wydaje się sensowna, to okazuje się, że najbardziej zależy jej na tym, żeby poznać moją mamę. A ja jestem tylko drogą do celu.

To już wolę chłopaków. Zwykle są dość odporni na czar Zosi Jezierskiej. Można z nimi normalnie pogadać. Oczywiście – o ile chcą ze mną gadać. Bo niektórzy nie bardzo. Na przykład Edgar Ciesielski.

Na szczęście noszę nazwisko taty, więc komuś niewtajemniczonymu trudno się zorientować, że jestem córką mojej mamy. Chociaż według dokumentów nazywa się Joanna Ciszewska-Chrobot, książki podpisuje tylko nazwiskiem panińskim. „Bo nie jestem laryngologiem” – mówi, chociaż wszystkie jej koleżanki noszą podwójne nazwiska, nie tylko te, które są laryngologami.

Mimo to jakimś cudem, jeśli nawet ktoś w szkole nie czytał żadnej z książek mamy, to i tak wie, że jest znana, a ja jestem jej córką. Nawet nauczyciele. Tylko z Edgarem Ciesielskim sprawa przedstawia się inaczej. Sława mojej matki to dla niego pryszcz, bo jego tata jest wielkim reżyserem i nakręcił *Trzeci brzeg rzeki*, czy jak tam się nazywał ten słynny film, który wygrał festiwal w Gdyni wiele lat temu, a którego i tak nikt z nas nie oglądał.

To był koniec sierpnia. Tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego. Poszłam do papierniczego kupić sobie zeszyty i różne przybory. Wracałam do domu przez cichy, zielony Mokotów. W warzywniaku przy Madalińskiego kupiłam maliny. Po drugiej stronie ruchliwej arterii widać było nowoczesne białe domy naszego osiedla.

Rok temu przeprowadziliśmy się z kamienicy w Śródmieściu na to nowe, strzeżone osiedle. Ta decyzja (podjęta, jak zawsze, przez mamę) spowodowała straszliwą kłótnię rodziców. Ojciec nie chciał nawet słyszeć o nowoczesnym, chronionym apartamentowcu. Wymachiwał rękami i krzyczał, że mama chce go wykończyć artystycznie, że on w takich warunkach nie będzie mógł tworzyć, bo żeby tworzyć, musi się integrować z tkanką miejską. A strzeżone osiedle nie ma żadnej tkanki, to nie jest w ogóle miasto, tylko sypialnia zamożnych pracowników korporacji, którzy nie mają kontaktu z normalnym życiem.

Mama wysłuchiwała go ze spokojem.

– Ty i tak nie masz kontaktu z normalnym życiem – powiedziała. – A poza tym teraz normalne jest właśnie życie pracownika korporacji, a nie jakiegoś artysty, który robi histerie nie wiadomo o co.

Ojciec poczuł się zmiażdżony (tak mi potem powiedział) i nie odzywał się przez trzy dni. Trzeciego dnia zdarzyło się coś, co sprawiło, że zmienił zdanie w sprawie przeprowadzki.

Wiedziałam, dlaczego mama chce się przeprowadzić na strzeżone osiedle. Jakimś cudem jej adres trafił do internetu i bez przerwy pielgrzymowały do nas nastolatki, chcące zobaczyć na własne oczy ulubioną autorkę. Mama była dla nich miła, pozwalała sobie zrobić zdjęcie, dawała autografy i grzecznie wypraszała panienki, jeśli wyglądały na takie, co chcą się bardziej zadomowić. Musiała jednak mieć tego serdecznie dosyć. Nawet kiedy chorowała na grype, nie mogła sobie chodzić w szlafroku, tylko ubierała się i malowała rzęsy w obawie, że zaskoczy ją jakaś wielbicielka.

Ale wtedy, trzy dni po strasznej kłótni, mama akurat poszła do dentysty. Kiedy zadzwieczał dzwonek u drzwi, tata otworzył i zobaczył na progu dwie dziewczyny, na oko szóstoklasistki, które oczywiście zapytały o mamę.

Tata zwykle podczas takich wizyt zaszywał się w swojej dziupli, nie miał więc dotąd doświadczenia z szóstoklasistkami. Uprzejmie wytłumaczył, że ich ulubionej pisarki nie ma w domu.

– To nic – powiedziała ta bardziej wygadana. – Możemy na razie obejrzeć mieszkanie.

Ogłupiały tata wpuścił je za próg i, trochę zakłopotany, zaczął oprowadzać po pokojach.

Panny w nabożnym skupieniu obejrzały kuchnię, mój pokój (pech chciał, że byłam w szkole, bo nigdy bym na to nie pozwo-

liła), łazienkę i toaletę. Najdłużej przebywały w pokoju mamy, każda z nich chciała dotknąć jej biurka i komputera, a jedna nawet zajrzała do szafy i oglądała mamine bluzki. Kiedy zbliżały się już do wyjścia, próżność artysty wzięła górę nad zakłopotaniem i tata z dumą otworzył drzwi swojej dziupli.

– A tu piszę ja.

Dziewczynki spojrzały po sobie spłoszone, nie wiedząc, jak zareagować. Zaszemrały coś między sobą, wreszcie ta bardziej wygadana zapytała:

– A co pan właściwie pisze, panie Ciszewski?

Mój tata nie nazywa się Ciszewski. Nazywa się Marcin Chrobot i jest sławnym poetą.

Dwadzieścia lat temu dostał nagrodę imienia Kościelskich, a jego tomik *Napowietrzne jazdy* nominowany był do Nike jakoś tuż przed moim urodzeniem. Utwory mojego ojca znajdują się w wielu antologiach polskiej poezji współczesnej. W Wikipedii można przeczytać, że należy do „najwybitniejszych twórców urodzonych w drugiej połowie lat sześćdziesiątych”. Ostatni tom jego wierszy osiągnął nakład ośmiuset egzemplarzy i to był podobno spory sukces.

Po wizycie tamtych szóstoklasistek tata ustąpił i zgodził się na przeprowadzkę.

– Teraz już wiem, co ty tu musisz przeżywać – powiedział mamie. – Trzeba walczyć o odrobinę prywatności.

W parę miesięcy później przenieśliśmy się do nowego mieszkania. Tata był na początku nieswój i chyba niezbyt szczęśliwy, ale już po tygodniu jego mały pokoik na wprost wejścia do złudzenia przypominał dawną dziuplę – tak samo zagracony, pełen książek, płyt, gazet i kubków po herbacie, w których tkwiły ogryzki jabłek. Bo tata, kiedy rzucił palenie, zaczął nałogo-

wo jeść jabłka. Wypala... tfu, pożera dwa kilogramy dziennie. A ogryzki zawsze upycha do pustych kubków i szklanek.

Po jakimś czasie tata odkrył również pobliski park i malownicze ogródki działkowe otaczające osiedle, a wreszcie musiał przyznać, że Stary Mokotów ma także całkiem niezłą tkanekę. Innymi słowy – przyzwyczał się.

Mnie oczywiście nikt o zdanie nie pytał. Tak to już zawsze jest – wszystkie domowe burze przetaczają się nad moją głową, lecz ja nie biorę w nich udziału. Wydaje mi się, że rodzice często nie zdają sobie nawet sprawy z mojego istnienia...

No, może teraz trochę przesadziłam.

W każdym razie, gdyby mnie ktoś o to zapytał, odpowiedziałabym, że ja się nie przyzwyczałam i nie przyzwyczaję. Mieszkanie jest całkiem fajne. Mój pokój – znacznie większy niż poprzedni. Ale cała reszta...

Przede wszystkim nikogo tu nie znam. Tam przynajmniej miałam Mańkę, koleżankę z podwórka. Można nawet powiedzieć – przyjaciółkę. Tu nie ma podwórka, a ludzi twarzą w twarz spotyka się właściwie tylko w windzie zjeżdżającej do garażu.

Codziennie rano, wychodząc z naszym psem Kluską, obserwuję niezmiennie taki sam widok: jakby na dany sygnał drzwi wszystkich garaży otwierają się i, jeden za drugim, wyjeżdżają z nich ogromne terenowe samochody. Ktoś mógłby pomyśleć, że pracownicy nadleśnictwa wyruszają na poranny objazd Puszczy Białowieskiej, gdyby nie to, że za kierownicą zwykle siedzą mężczyźni w garniturach i umalowane kobiety w eleganckich garsonkach. Czasami na tylnym siedzeniu widać dzieci poupychane w fotelikach albo jakiegoś znudzonego nastolatka. Przyglądamy się sobie przez szybę w chwili, kiedy samochód czeka, aż otworzy się szlaban broniący wstępu na osiedle. I tyle mam kontaktu z rówieśnikami z sąsiedztwa.

Poza tym brakuje tu sklepów. To znaczy: normalnych sklepów. Co prawda jest jeden duży samoobsługowy spożywczy pod wdzięczną nazwą Markecik, ale już zamiast warzywniaka mamy Ekojarzynkę, gdzie przywiędłe kalafiory kosztują majątek. Mamy też na osiedlu trzy salony spa i sushi-bar.

Za to żeby dojść do papierniczego, trzeba minąć cztery przecznice.

Dlatego właśnie tego sierpniowego popołudnia wracałam ze sklepu z artykułami papierniczymi i biurowymi przez wyludnione miasto, a słońce powoli kryło się za odległym skrajem Pola Mokotowskiego.

## Rozdział drugi

U mamy była jedna z tych jej koleżanek o podwójnych nazwiskach, Lena. Siedziały w salonie przy okrągłym stole i piły kawę. Przemknęłam za ich plecami do kuchni. Miałam ochotę ukręcić sobie kogel-mogel z malinami.

Lena Lisiecka-Gromek to wydawczynie książek mamy. Jej mąż, Roman, na którego w dzieciństwie mówiłam wujek Romek-Gromek, służy w wojsku i przebywa teraz na misji w Afganistanie. Ale ja uważam, że Lena bardziej nadaje się na komandosa.

Lena rozmawiała z mamą o jej ostatniej książce. Z tego co mówiła, wynikało, że *Cynamon i piegi* nie jest aż tak wielkim sukcesem jak *Miłość z podwójnym serem*, i chociaż sprzedaje się znakomicie, w rankingu bestsellerów powieści mamy wyprzedzają aż dwie książki o wampirach.

– Nie chcesz chyba, żebym zaczęła pisać o wampirach? – zaniepokoiła się mama.

– Nie, skądże – zapewniła ją Lena. – Ale myślę, że musimy ostrzej ruszyć z promocją. Książki o Zosi są na rynku już od dobrych kilku lat i nigdy nie dbaliśmy specjalnie o ich reklamowanie. To się rozchodziło samo, po blogach literackich, między dzieciakami. Teraz przyszedł czas, żeby powalczyć! – oświadczyła bojowym tonem.

– O! – powiedziała tylko mama.

Wychyliłam się z kuchni, żeby zobaczyć jej minę. Niestety, przesłaniał mi ją stojący na stole dzban ze słonecznikami.

– Mam już plan – ciągnęła Lena. – Urządzimy ci cykl spotkań autorskich. Dostaję mnóstwo zaproszeń z bibliotek i domów kultury. Zwykle odmawiałam, bo ty nie lubiłaś jeździć. A teraz pojedziesz.

– Koniecznie? – Mama nie była zachwycona tym pomysłem.

– Koniecznie. Chyba nie chcesz, żeby przegonił cię byle wampir, co?

– Ale ja nie umiem rozmawiać z młodzieżą... – mama protestowała słabo, lecz sprawa była już przesądzona.

– Umiesz, umiesz. A jak nie umiesz, to się nauczysz. Na pierwszy ogień wybrałam ci zresztą znajome strony – od piątego września ruszasz w trasę po Zamojszczyźnie. Co ty na to?

Rodzina mojej mamy pochodzi z okolic Zamościa, a ona sama tam się urodziła i chodziła do szkoły. Teraz jednak nie wyglądała na zadowoloną.

– Jak długo to będzie trwało? – spytała po chwili milczenia.

– Myślę, że około tygodnia. Dokładny plan prześlę ci mailem.

– Tydzień? – przestraszyła się mama. – A kto zostanie z Tosią?

– Jak to kto? Marcin.

– Jak oni sobie tutaj dadzą radę?

– Nic im się nie stanie, jeżeli poćwiczą samodzielność. Zwłaszcza Marcinowi. – Lena niezbyt lubi mojego tatę i zawsze jest względem niego złośliwa. – A Tosia to już nie jest niemowlę, to prawie dorosła dziewczyna!

– Jasne! – powiedziałam, wychylając się zza ściany, bo pomysł nagle mi się spodobał. Zostać przez tydzień tylko z tatą, siedzącym całymi dniami w swojej dziupli, bez terroryzującej nas nadmiernymi wymaganiami mamy – to przedstawiało się całkiem interesująco.

– Antonina? – zdziwiła się mama. – Jesteś w domu? A co ty tam robisz?

– Kogel-mogel z malinami.

– Kogel-mogel? A jajka sparzyłaś? Nie? Chcesz dostać salmonelli? Ręk pewnie też nie umyłaś, co?

*Tajfun perfekcji. Cyklon porządku. Postrach mniej doskonałych członków rodziny.*

*„The New York Review of Books”*

– wyobraziłam sobie taki tekst na tylnej stronie okładki i zachichotałam.

– Z czego się śmiesz? Widzisz, Lena, a ty mówisz, że to dorosła dziewczyna... – westchnęła mama.

Na szczęście nie miały czasu zgłębiać kwestii mojej dojrzałości, bo zgrzytnął klucz w zamku i do przedpokoju wkroczył tata. Odpiął Klusce smycz, a pies natychmiast ruszył obtańcowywać dookoła stół i Lenę.

– Ale jest gruba! – powiedziała Lena, stanowczo odsuwając od siebie zaśliniony psi pysk. – Ty też utyłeś – dodała nie bez satysfakcji, przenosząc wzrok na tatę stojącego przy wejściu w wyciągniętych spodniach od dresu, starym swetrze i za-

bloconych butach. Zwykle tak wyglądał, odkąd, zamiast integrować się z tkanką miejską, zaczął spacerować z psem po parku i działkach.

Tata zignorował uwagę Leny.

– Chodź, suka! – zawołał Kluskę i wrócił do przedpokoju wytrzeć jej łapy.

Usiadłam przy stole z moim niedokończonym koglem-moglem pełnym salmonelli, bardzo ciekawa, co będzie dalej. Mama spojrzała na Lenę z wyrzutem.

– Nie masz za grosz dyplomacji – szepnęła. – Chrobotku! – zawołała słodko. – Zrobić ci herbaty?

Ojciec aż wyrzwał z korytarza, nie wierząc własnym uszom.

– Słucham?

– Pytam, czy napiłbyś się herbatki?

– Owszem – burknął.

– Antosiu, wstaw, proszę, wodę – zwróciła się do mnie mama. – I wyrzuć wreszcie te ohydne jajka.

Chętnie wróciłam do kuchni. Doświadczenie uczyło mnie, że dorośli rozmawiają ze sobą znacznie ciekawiej, kiedy nie wiedzą o tym, że słuchają ich dzieci. Zastanawiałam się, jak tata zareaguje na wiadomość o wyjeździe mamy. Nie żeby się bardzo lubili, ale rozstawali się raczej rzadko. A poza tym mama przez całe lata skutecznie wbiła nam do głów, że jest jedyną osobą, która umie sobie w domu ze wszystkim poradzić. Była po prostu niezbędna i niezastąpiona.

Kiedy woda się zagotowała, nalałam ojcu herbaty do ulubionego kubka. Potem ukryłam się znów za ścianą, koło lodówki. Jakim doskonałym wynalazkiem jest tak zwany aneks kuchenny! I pomyśleć, że było to rozwiązanie architektoniczne, które najbardziej mi się w nowym domu nie podobało!

Tata usiadł przy stole, popijał herbatę i gryzł jabłko, a mama starała się dyplomatycznie przedstawić mu sprawę wyjazdu.



Nie było wcale łatwo.

Mój tata, który jest poetą wielkim, acz niekomercyjnym, niezbyt ceni pisarstwo mamy. Uważa, że zmarnowała talent na pisanie bzdur dla pryszczatych nastolatków. Tak kiedyś powiedział, sama słyszałam. Choć nie chce się do tego przyznać, tacie doskwiera fakt, że mama zarabia wielokrotnie więcej od niego. Myślę, że czuje się tym trochę upokorzony.

Dlatego też wiadomość, że ostatnia powieść mamy sprzedaje się słabiej niż inne, sprawiła mu pewną przyjemność, a konieczność promocyjnego wyjazdu uznał za fanaberię Leny.

– Cóż chcesz? – powiedział z grymasem na twarzy. – Rynek w końcu nasycił się młodzieżowymi czytałkami! Może to i dobrze, bo zajmiesz się wreszcie jakąś poważną twórczością.

– Wystarczy nam w domu jeden, co zajmuje się poważną twórczością! – odgryzła się mama. – Poza tym z czegoś trzeba spłacać kredyt na mieszkanie.

– Wiesz, że to nie ja podjąłem decyzję w kwestii mieszkania, więc nie wymagaj ode mnie... – zaczął tata i dyskusja weszła by pewnie na znajome mi od dawna tory, gdyby nie Lena. Kobieta konkret.

– Tu nie ma o czym mówić – rzuciła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Joanna ma już ustalone daty spotkań autorskich na Roztoczu, poczynając od piątego września, nie można tego odwołać. A ty, zamiast jej zazdrościć, mógłbyś zachować się jak mężczyzna i zająć przez ten czas domem i Tošką.

Ojciec nadał się jak purchawka. Nagle podskoczył, jakby coś go olśniło, wypuścił powietrze z płuc i zawołał:

– Od piątego września? No to wszystko jasne. Nic z tego. Joanna nigdzie nie pojedzie.

– A to dlaczego? – zdziwiły się obie panie.

– A to dlatego, że czwartego września to ja wyjeżdżam. Do Niemiec. Na dwa tygodnie. Zostałem zaproszony na między-

narodowy festiwal poezji pod nazwą „Rhyme am Rhein”. Odbywa się to w ten sposób, że poeci z różnych krajów wyruszają w podróż statkiem po Renie. Rejsowi towarzyszą spotkania z publicznością w mijanych po drodze miastach, dyskusje panelowe i warsztaty translatorskie...

Zapadło milczenie.

– Nic mi o tym nie mówiłeś – odezwała się w końcu mama.

– Zapomniałem – oświadczył z rozbajającym uśmiechem tata.

– Zwykle nie jeździsz na takie imprezy. Mówisz, że to cyrk.

– Wiesz, w tym roku Polska jest gościem honorowym, nie wypada odmówić. Poza tym moja niemiecka tłumaczka, Hannelore, bardzo nalegała...

Mama wyprostowała się nagle.

– Ach, tak – powiedziała lodowato.

Atmosfera zrobiła się ciężka. Pomyślałam, że należy wkroczyć do akcji.

– Mną nie musicie się przejmować – powiedziałam, wychylając się zza ściany. – Nie chciałabym nikomu łamać kariery. Mogę przecież zostać sama.

– Ty? Sama? Nie ma mowy! – oburzyli się oboje.

– Dlaczego? Przecież mam prawie czternaście lat, nie jestem już dzieckiem...

– No właśnie – powiedział tata.

– Po tym, co się tu zdarzyło przed wakacjami? Nigdy w życiu – kategorycznie stwierdziła mama.

Wiedziałam, o co jej chodzi. O te nieszczęsne imieniny.

Długo trwało, zanim namówiłam mamę, żeby pozwoliła mi urządzić w domu imprezę. Okropnie się bała o swoje wypielęgnowane mieszkanie. Tata nie miał oporów, dopóki się nie okazało, że...

– Tato, ale wy musicie wybyć.

– Co zrobić?